

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 7 Luty 1914 roku.

№ 6.

Andrzej Strug.

„Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-
skie i wydawców za-
strzeżone.

Powieść z obcego życia.

Stary rozmawiał chętnie z mężem. Grał z nim już raz w pokera. Młody człowiek był gadatliwy i wylewny. Lubił niezmiernie mówić o sobie i swoich sprawach i zdążył już opowiedzieć wszystko, ale nie powiedział właściwie nic. Zaś pytał zrzadka, ciekawy był nie nie znaczących szczegółów — niezmiernie podstępnie. Ale stary był chytry. Pilnował się i nacierał sam, zresztą bez cienia niepokoju.

We drzwiach od Hall'u stanął Hans, podając listy.

— Hans, przygotujesz na jutro grube trzewiki i ubranie sportowe. Zamówisz przewodnika na jeden dzień. Na siódmą rano. Bierz włocha.

— Mam nowiny.

— Żle? Dobrze?

— Zupełnie dobrze. Mówiła mi garderobiana...

— No! Dosyć. Dla mnie kąpiel natychmiast. Chodź, Wiktorze, dyablenie tu zimno.

Ale w korytarzu zaczepił ich gadatliwy francuz z małżonką. Czarnooka dama wszczęła krzykliwą rozmowę z młodym Derjac'iem. Zaledwie się ich pozbyli.

W numerze, składającym się z dwóch pokoi, saloniku z balkonem i łazienki, krzątał się Hans.

— Gadaj! — rzucił krótko stary.

Hans zamknął drzwi, rozsiadł się wygodnie w fotelu, zwoła, systematycznie zapalał cygaro i zaczął mówić półgłosem.

Stary słuchał z uwagą. Derjac syn patrzył w okno, ale nie tracił ani słowa. Chwilami rzucał półgłosem dytanie, uwagę.

— Detektywów tym razem mają tylko dwóch — właściwie jednego, bo sa dzień i noc na zmianę.

— A stary Slazenger?

— Stary okupił się świeżo „Czarnej ręce” i ma rok spokoju. Detektywi pilnują tylko szkatułki i są wszędzie, gdzie panna jest ubrana w grubsze klejnoty. Maskują się, ale niebardzo.

— Kiedy jada?

— Panna idzie w pierwszy dzień pogody na Breithorn. Starzy czekają na ciotkę z Wiednia. Potem razem nad jeziora.

— Potem?

— Potem Floreneya, Rzym. W Rzymie posiedzą. Pojadą — Capri, Mentona, potem do Paryża już na całą zinę.

— Żle. Nijako mi się płatać po włoskich hotelach. Żle.

— Dobrze! — odparł Hans. — Można wszystko skończyć tu, na miejscu.

— Gadaj.

Hans obejrzał się na młodego.

— Ruszaj-no, chłopcze, poplirtuj sobie na wszelki wypadek z czarną damą. Te rzeczy cię znudza. I tak zrobisz swoje i dostaniesz swoje. Ruszaj.

Derjac uśmiechnął się i wyszedł. Przewdział szerokie palto i czapę angielską i szedł sobie przez wieś Zermatt, między hotele, sklepy i kawiarnie. Na końcu osady zastał go już zmrok. Szedł zamyślony bez celu pustą drogą, wnoszącą się zlewką pod górę. Minał dwa zakosy, kiedy nagle wśród zmroku wytrysnął nad nim gmach z ognia.

Jarzyły się okna, gzymsy, balustrada na dachu. Na tarasie w potokach światła powiewał olbrzymi, gwiaździsty, amerykański sztandar.

Przystanął i wparł zle oczy w świetny gmach. Sam o tem nie wiedząc, szedł ku „Astoria Palace”. Same nogi go tam poniosły. Nie chcąc iść dalej, stał w zadumie i patrzył.

Jak widziało, jaśniał gmach na wyżynie. Kusił i ciągnął ku sobie, urągał z wysokości wszystkim, co nie było nim. Pysznił się, zdawał się śmiać ze wszystkiego ze wzgardą, szyderstwem.

Jakgdyby był stolicą mocarza, który świat zagarnął pod siebie i panuje. Na wieki wieków ugruntowana jego potęga. Nie poradzi mu żaden wróg ziemski, nie złamią pozaświatowe moce, nie zetrą żywioły. Ani trzęsienie ziemi, ani śmierć. Ani go tknie odmiana czasów, która zakopuje do grobu wszelką przeszłość i wciąż nowych panów narzuca światu. Wszystko mają, on jeden pozostaje. Jako było od początku świata...

Derjac nie odrywał oczu od zjawiska. Stare, znajome myśli. Trawiąca żądza potęgi, władztwa nad życiem, nieokielznany lot wyobraźni ku wymarzonemu chimerom...

Być — jak oni! Wszystko mieć na zawołanie. Tylko zachcieć! Być, jak bogowie na ziemi...

Z mienawiścią patrzył na wroga. Jak zbóji nocny, czaił się na gościńcu. Wydrzeć swoje szczęście, zmiażdżyć po drodze wielu, tylko trzeba ważyć się na wszystko! Przeklinał ślepy los, który innych wywyższył, nie jego. Jak dziecko, wyciągał ręce po rzecz daleką, niedostępną. I jeszcze raz coś przeklinał. I znów sobie coś ślubował.

Z odrazą patrzył na nędzę swojego bujnego życia. Z całym spokojem sumienia gotów był na wszelką zbrodnię, wyzywał wszelkie niebezpieczeństwa, ale wzdrygał się ze wstretiem nad własnym poniżeniem.

Wraz ze starym i z Hansem obracali się wciąż jeno tam, gdzie skupiały się tłumy bogaczy świata. Ocierali się o nich, robili znajomości, tygodniami żyli podobnie do nich, wydając szalone sumy na przystosowanie się do tła. Budowali plany, przeprowadzali je z niezmiernym wysiłkiem nerwów, czatowali cierpliwie, wytrzymałe, czyhali na mo-

ment i w jednej chwili tygrysim rzutem spadali na upatrzone miejsce. Czasami w pazurach zostawała im pustka, czasami trafiali w sidła, z których dobywać się trzeba było genialnym sprytem, zbrodnią, przekupstwem. A czasami dzielili się zdobycza, i Derjac był na chwilę bogaty.

Na chwilę. Albowiem i stary, i Hans gromadzili zdobycz, gospodarząc zapracowanymi sumami ostrożnie i mądrze. On nie mógł się oprzeć pokusie wydarcia się ze siebie i w ciągu kilku miesięcy stawał się „jak oni“, trwonił wielkie pieniądze, żył swobodnie, bez troski, podróżował, obracał się w towarzystwach prawdziwej złotej młodzieży, był członkiem paru świetnych klubów w paru stolicach, imponował szykiem i hojnością milionerom. Zjawiał się nagle i pewnego dnia, gdy już mu niewiele zostało, zniknął, zostawiając po sobie wszędzie nader sympatyczne wrażenie.

Stary szef i Hans lekceważyli wspólnika, dotkniętego obłądną zarazą.

Uważali go za dziecko, za poetę i nie wtajemniczali go we wszystkie arkana rzemiosła. Trzymali się go jeno, jako nieporównanego „technika“, który znał wszelkie sposoby rozbiłania kas, który umiał wślizgnąć się wszędzie i wyślizgnąć się wśród najtrudniejszych opałów. Cenili jego szczęście w robocie, które ani razu nie zawiodło, i mestwo, nie cofające się przed niczem. W ostatniej potrzebie Derjac umiał zabić. To też na nim jednym z całej trójki ciążyła ludzka krew. Tamci dwaj wystrzegali się zabójstwa, świadomi niebezpieczeństw, licząc się ze wszelkimi możliwościami i patrząc w przyszłość, którą chcieli mieć długą i spokojną po przeżytych trudach.

Derjac marzył. Być nareszcie wolnym, niezależnym, bogatym... Przestać udawać, być sobą. Przeklinał swoją lekkomyślność, obiecywał poprawę, obliczał, ile to mógł już mieć o tej porze swojej niezaprzeczanej, krwawo zapracowanej własności, gdyby nie nieszczęsne jego żądze...

Byłaby to już suma olbrzymia, gdyż trójka podejmowała tylko afery największej miary. Byłoby to jedyne, gdyby chcieć z tego żyć górną skalą — jak to rozumiał Derjac i jak to widział naokoło siebie.

Zadnego wyjścia... Miotał się w rozpacz, w nienawiść. „Astoria Palace“ płał ze spokojem szyderstwem, a przez rozognioną wyobraźnię Derjac'a przelatywały coraz to fantastyczniejsze plany.

— Ach, to pan...

— Witam panią! Samotna, o takiej porze? Pozwoli pani...

— Będzie mi bardzo miło. Wyszłam się przejść i jakoś się szybko zmroczyło. Zapatrzyłam się na Astoryę. Cała okolica inaczej wygląda przy tym blasku. Cudownie!

— Cóż to za nadzwyczajna iluminacja?

— Pan nie wie? Przyjeżdża nareszcie lady Hartley. To na jej przyjęcie.

— Któż to taki?

— Niemożliwe! Pan nie wie? Nieszczęsna wdowa, której żałuje cały świat! Jaka piękna! Mąż zostawił jej cały majątek: jakieś półtora miliarda z warunkiem, że dochowa mu wierności aż do śmierci. Widzi pan! Młoda, piękna kobieta! Może najbogatsza na świecie. I cóż...

— O, przecie niekoniecznie musi brać ślub!

— Ach, panie Derjac! Któż tego nie wie? Ale najlepiej wiadomo to krewnym nieboszczyka męża, którzy ją pilnują na każdym kroku, otaczają szpiegami. Co gorsza, nasyłają na nią swoich ludzi, najwykwintniejszych młodzieńców z towarzystwa. Pokusy, wszędzie prowokacje! I niechże tylko cień podejrzania, proces skandaliczny, no i odbiorą jej wszystko.

— Niech jej pani nie żałuje zbyteń. Kobieta potrafi oszukać cały świat.

— O, panie, wielka to prawda, ale kiedy kto jest tak strasznie osaczony, jak ona! Tu idzie gra o półtora miliarda!

Cyfra ta, rzucana przez młodą kobietę dziwnym głosem, spadła między nich, jak tajemne słowo zaklęcia. Derjac wpatrywał się z powagą w jej oczy, płańcące wśród zmroku. Była piękna, biła od niej przepaści sta iakaś żądza.

Derjac zapalił cygaro i przy świetle woskowej zapalniczki przyglądał się pani de Morell (młode małżeństwo było tak zameldowane w „Matterhornie“).

Twarz jej pałała, usta drżały, a z oczu biła zapamiętała, szalona gotowość na wszystko.

— O, proszę tak na mnie nie patrzeć! Jestem dziś wyjątkowo zdenerwowana. Jaki pan dziwny...

Derjac w milczeniu postępował obok niej. Badziła się w nim szalona energia — to samo, co prowadziło go w najkrytyczniejszych momentach, kiedy wślizgiwał się do przedziału sleepingu, pomiędzy śpiących ludzi, kiedy się przemykał po zawiłych zakątkach skarbcza bankowego, obciążonego drutami alarmowych — kiedy zabijał człowieka...

Kiedy zeszli poniżej, do pierwszego zakosu drogi, rzucił cygaro za parapet, ujął panią de Morell za obie ręce, stanął przed nią.

Prawie że się nie opierała. Derjac zgrasił w sobie natychmiast przelotne ostre pragnienie i rzekł twarzą:

— A ja wiem, kto pani jest. Wiem, co tu robicie oboje!

Szarpnęła się z szalona siłą. Ale Derjac trzymał mocno. Czuił na sobie jej ciężki oddech, widział oczy,

ciskające w niego płomieniem. Po chwili już się do niego przygarnęła całą postacią. Broniła się ciepłem swojego ciała, bezwładnym poddaniem, milczącym przyzwoleniem na wszystko. Już ją to kiedyś uratowało...

Ale Derjac puścił jej ręce, które natychmiast opłotły mu szyję, i rzekł dobitnie, spokojnie:

— O, nie, pani! Nie chcę ci uczynić żadnej szkody. Przeciwnie. Ale musimy się porozumieć. Niech pani słucha uważnie, rozumnie!

Schodzili z wolna po pochyłości ku Zermatt, które połyskiwało w dole rojami światełek. Na przeciwległym zboczniu paliły się w górę elektryczne latarnie i sygnały kolei Gêrnegratt, a ponad wszystkim wisiąły martwą, siną białością ponure szczyty.

IV.

Miss Slazenger witała serdecznie przybyłą przyjaciółkę. Natychmiast po obiedzie, spożytym w gronie rodzinnym, zabrała ją do swojego buduaru, kazała podać papierosy, herbatę i zaczęła się rozmowa żywa, bezładna, niewyczerpana. Nie widziały się ze sobą od pół roku. Miss Slazenger podróżowała po Europie, lady Hartley siedziała w domu, a przez cały sezon w swojej posiadłości nadmorskiej na Florydzie.

Miss Slazenger opiekowała się starszą przyjaciółką od czasu śmierci jej męża. Rosła, silna, kipiąca energią i wolą do życia, śmiała i zdobywczą panna już oddawna podbiła i opanowała melancholijną wdowę, która, pomimo pozostawionego jej przez męża kolosalnego majątku, nie umiała sobie dać rady z trudnościami życia i psuła sobie najpiękniejsze lata rozkwitu ustawicznymi troskami, nastrojami pełnymi sprzeczności i coraz to zmieniającymi się zacheciankami i fantazyjami, które zaspokoić było jej zawsze nazbyt łatwo i które nie zaspakajały jej nigdy.

— Lucy — i cóż tam masz nowego?

— Nie, wszystko po dawnemu, moja droga.

— Opowiadaj! Opowiadaj! Słyszałam, że organizujesz wyprawę do bieguna południowego. Gdzieś o tem pisali i chwalił cię bardzo.

— Żarty! Przeciżbym ci o tem sama napisała. Nie podobnego.

— A to co znaczy? — spytała surowo miss Slazenger, podając jej numer gazety „Boston World's Sailor“ i wskazując na olbrzymie litery tytułowe naczelnego artykułu: „Najpiękniejsza i najbogatsza żakonnica na globie ziemskim! Dwa miliardy, zrabowane Ameryce przez Jezuitów.“

Lady Hartley zaśmiała się głośno, nerwowo. Zawtórowały jej kaskady srebrnego, młodzieńczego śmiechu Lucy.

— Czy i to wszystko wymyślone. Mów prawdę!

— Ach, Lucy! To śmieszne, ale doprawdy, mam już tego dość. Reporterzy nie dają mi spokoju. Jakież to bezczelne i głupie! Nasze kochane prawa są bezsilne wobec tych napaści. Chciałam wszystkich, co o mnie piszą, skarżyć do sądu, żeby ich raz wszystkich nauczyć rozumu, ale mój doradca prawny twierdzi, że przegram zawsze, bo te kretyny rozpisują o mnie bajki, ale zawsze w idiotyczny sposób wychwalają i wynoszą. Niema „znamion oszczerstwa”, niema rady.

— A co do tego klasztoru?

— Tyle prawdy, że rozmawiałam raz z księdzem katolickim na Garden Party u Robertsów. Chodziłam po parku i rozmawiałam z go-dzinę...

— O czym?

— Bo ja wiem... O Niagarze, o papieżu, o murzynach...

Lucy usiadła obok niej w obl-brzymim, głębokim fotelu, przytuliła się, zajrzała zblizka w oczy, ucałowała je jedno po drugim i spytała:

— Mówże już, mów... Stęskniałam się za tobą. Opowiadaj o sobie wszystko, wszystko, ale naprawdę, tak, jak zawsze. Przecie wiesz, jak cię kocham!

Oczy lady Hartley odrazu zasły łzami.

— Ach, Lucy...

Najgorsze, że nie ją nie cieszy i nawet nic nie martwi. Już niczego jej się nie chce. Wszystkiego próbowała, latała nawet na aeroplanie. Bardzo krótko i niezbyt wysoko, ale i to na nic. Myślała, że ją to rozewnie. Więc kupiła aparat, utrzymuje na stałe własnego pilota i dwóch mechaników. Wozí czasami jej znajomych, ale ona już drugi raz nie pojedzie.

Wogóle niema na świecie nic naprawdę nadzwyczajnego. Wszystko obojętne, wszędzie nuda. Dni się dłużą, a po nocach nie może spać.

— Ach, Lucy, co to za męka...

— I zawsze jeszcze to samo?

— To samo! To samo! To straszne i nieludzkie tak mnie skazać...

— No, Ada, mówiłam ci ostatnim razem, w Paryżu, pamiętasz?

— Nie mam sił, boję się. Już nikomu, nikomu na świecie nie wierzę.

— I mnie nawet?

— Ach, Lucy, jakże możesz! Nie wierzę żadnemu mężczyźnie z towarzystwa.

— I ja nie wierzę żadnemu, a nie rozpaczam, bo wiem, że spotkam kiedyś takiego, co mi będzie miły. Nie o to idzie. Trzeba, żebyś się odważyła.

— To strasznie trudno, to niepodobieństwo... Już nigdy nie będę mogła... I oszaleję!

Hall Caine.

Dana od Boga.

Przekład z angielskiego H. J. P.

6

Powieść w 3-ch tomach.

Rozdział X.

Matka moja uległa na całej linii. Zaraz nazajutrz zajęła się przygotowaniem wyprawy dla mnie. Posłano po materyały, sprowadzono szwaczke, obstalowano w Blackwater ładny garniturek futrzany.

Co do mnie, chcąc nie rozminąć się z prawdą, muszę wyznać, że te wszystkie przygotowania wcale mnie nie martwiły. Przeciwnie, napełniały mnie rodzajem dumy, jako coś, co mi dawało pewną przewagę nad Betsy i Nessy Mac Leod, upowazniając do traktowania ich zgóry.

Moja matka, zapewne pod wpływem rad i przestróg Ojca Dana, trzymała się mężnie, a że zacny kapłan i mnie na uboczu upominał, abym nie płakała i nie martwiła się blizkiem już rozstaniem, więc obie grałyśmy przed sobą komedję wesołości, gawędząc, śpiewając i śmiejąc się, iakgdyby nigdy nic.

Tylko parę razy w nocy, zbudzona kaszlem matki, słyszałam ją mówiącą do siebie:

— Moje biedne dziecko! Co się z nią stanie!

Niemniej wszystko szło dobrze aż do dnia wyjazdu. Postanowione było, że pojedziemy z Ojcem Danem do Liverpoolu ranym parowcem, i zaledwie świt zabielił okna, a ja już wyskoczyłam z łóżka i zaczęłam skakać po pokoju w nocnej koszulce, dopóki nie przyniesiono nam śniadania, które zjadłyśmy obie z matką w jej łóżku. A potem nastąpiła ważna chwila ubierania się w nową sukienkę i futrzany garniturek, co także napełniło mnie ogromną radością, tak, że co chwila prze-glądałam się w lustrze, podczas gdy moja matka, upominając mnie, hym disywała do niej, iak będę mogła najczęściej, zaczęła przy kłęczniku, który jej zastępował pulpit, adresować mi koperty na zapas.

Zobaczyłam wtedy, że odrzuciła pierwszą kopertę całą zamazaną łzami, i ogromny żal chwycił mnie za gardło. Ale przypomniałam sobie Ojca Dana i rzekłam:

— Nie martw się, matuchno. Przyjadę do domu na Święta.

W chwilę potem usłyszałyśmy turkot powozu i Ojciec Dan, otulony trykotowym szalem, wszedł, mówiąc, że wszystko gotowe.

Moja matka sięgnęła po chustkę do nosa, a mnie zamgłiło się w oczach, rzuciłam się w jej objęcia i rozszlochałyśmy się obie.

Ale w tejsze chwili dał się słyszeć doniosły głos mego ojca, wołający z dołu, że spóźnię się na stacyę, więc matka obtarła szybko oczy chusteczka mnie i sobie i puściła mnie.

Betsy i Nessy Mac Leod stały

w sieni, lecz ja podniosłam dumnie głowę i przeszłam mimo, udając, że ich nie widzę. Zamierzałam postąpić tak samo z ciotką Brygidą, która stała w otwartych drzwiach otulona szalem, lecz ciotka wyciągnęła do mnie rękę i rzekła:

— Jakto? Nie pocałujesz mnie na pożegnanie?

— Nie — odparłam, prostując iak mogłam najsztynwiej moją drobną postać.

— A dlaczego?

— Dlatego, że ciotka jest nie-dobrá dla mamy i okrutną dla mnie i myśli, że tylko jedna Betsy jest na świecie. A ja powiem zakonnikom w klasztorze, że mama choruje przez ciotkę i że... niema takiej drugiej zlej kobiety na świecie, iak ciotka.

— O! mój Boże! Aż tak — rzekła ciotka Brygida, niby żartobliwie, ale widziałam, że zbladła, iak ściana. Nie rozczuliło mnie to bynajmniej i pewnym krokiem przestąpiłam próg. Lecz Ojciec Dan, który już siedział w powozie, rzekł:

— Moja mała Mary nie wyjedzie z domu w ten sposób, nie pocałowałaśy cioci i nie pożegnawszy się z kuzynkami.

Wróciłam się więc, podałam rękę Nessy i Betsy i nadstawiłam twarz ciotce Brygidzie.

— No, tak, to rozumiem — rzekła, pocałowawszy mnie, ale gdym odeszła kilka kroków, usłyszałam, iak mówiła półgłosem do Betsy:

— Chwała Bogu, że już sobie jedzie.

Przez ten czas ojciec mój chodził przed domem, powtarzając, że koniom zimno i że się spóźnimy; bez żadnych zatem dalszych ceregieli wpakował mnie do powozu i drzwi-czki za mną zatrzaskał.

Ale zaledwie ruszyliśmy, ojciec Dan, który wciąż mrugał oczami i udawał, że obciera sobie nos wielką kolorową chustką, rzekł: „Patrz” i podniósł palec w górę ku pokojowi mojej matki.

I uirzałam ją stojącą w otwartem oknie i przesyłającą mi od ust pocałunki, dopóki nie znikła mi z oczu na zakręcie.

Wtedy wsunęłam się w kącik powozu i miałam już wybuchać głośnym płaczem, gdy wtem z pomiędzy drzew alei wyskoczył mały chłopak i zaczął doganiać powóz.

Był to Jurek, a choć prawą rękę miał jeszcze na temblaku, wskoczył na stopień i trzymając się otwartego okna lewą ręką, wsunął głowę do środka, dając mi znak oczyma, bym wyięła mu z ust ogromne, czerwone jabłko, które trzymał w zębach za ogonek. Wzięłam jabłko, a on, nie wymówiwszy ani słowa, zeskokczył na ziemię i stał tak długo w swoim ogromnym, dziurawym kapeluszu,

DCN.

bardziej niż kiedykolwiek do rosnącego przy drodze grzyba podobny.

Zdążyliśmy w porę na statek w Blackwater; Ojciec Dan umieścił mnie w kajucie pierwszej klasy na górnym pokładzie, przyczem powiedział mi, że druga obok zajmuje młody lord Raa ze swoim opiekunem, z którym jedzie po raz pierwszy do Oksfordu.

Przyjęłam tę wiadomość obojętnie, żadne przeczucie nic mi nie powiedziało w owej chwili, gdyż pochłaniała mnie całkowicie ta straszliwa prawda, która teraz dopiero, gdy miałam czas zastanowić się nad wszystkim, stała mi jasno przed oczyma, że jednak wyrzucono mnie z rodzicielskiego domu i że nigdy już nie ujrzę mojej matki ani Jurka.

Siedziałam sama w kajucie, bo ojciec Dan poszedł witać się ze znajomymi i, trzymając ręce w mufce, patrzyłem w stronę niskących gór mojej ojczyzny, gdy wejście do kajuty zaćmiło się stojącą w niem postacją.

Był to wysoki chłopak, już prawie mężczyzna, w którym od razu domyśliłam się młodego lorda Raa. W pierwszej chwili wydał mi się bardzo pięknym i zauważyłem, że był wytwornie ubrany. Spojrzył na mnie z uśmiechem, wszedł do kajuty i usiadł.

— Wiec tak wygląda mała Mary O'Neill — rzekł wesolo.

Nic nie odrzekłam. Już mi się nie wydawał takim pięknym, miał bowiem dwa przednie zęby równie duże, jak Betsy.

— Dziewczynka, która miała być chłopcem i miała dać mi prztyczka w nos. Co?

Milczałam. Głos jego przypominał mi Nessy Mac Leod: był tak samo szorstki i krzykliwy.

— Biedna myszka! Do Rzymu ją posyłają, do klasztoru. Co?

Milczałam w dalszym ciągu, mówiąc sobie, że oczy ma zupełnie, jak ciotka Brygida: chłodne, szare i przenikliwe.

— A taka cichutka i poważna! Już zupełnie, jak mała mniszeczka. Dyabelnie ładna mniszeczka, przyznać muszę.

Spojrzałam na niego z wielką pogardą.

— A skąd to panienka wzięła takie piękne, duże oczy? Skradła je z obrazu jakiej Madonny?

Odwrociłam się i zaczęłam patrzeć w stronę morza, gdy usłyszałam jego głos za swemi plecami.

— A da mi panienka buziaka— co?

— Nie.

— Jakto nie? Jesteśmy przecież krewni.

— Nie chce.

Roześmiał się i ujawszy mnie zlekka za ramiona, chciał mi przechylić głowę w tył, ale ja wydobylam z mufki rękę w wełnianej mitence i, zacisnąwszy ją w piastkę, uderzyłam go w twarz.

— A to osa! — zawołał z gniewem



... Jakże będzie? — rzekł — dostanę buziaka na przeprosiny, czy też będziemy się gniewali do końca życia?

zudem zdumieniem. — Twarz mniszki a charakterek szatana. O! ale ja ci tego nie daruję, moja panno.

Z temi słowy wyszedł z kajuty i zobaczyłam go dopiero, gdy już statek dopłynął do Liverpoolu i pasażerowie zbierali swoje manatki. Ojciec Dan wyprowadził mnie na pokład, a wtedy on zbliżył się do nas ze swoim opiekunem.

— Jakże będzie? — rzekł — dostanę buziaka na przeprosiny, czy też będziemy się gniewali do końca życia?

— Moja mała Mary nie mogłaby się gniewać na nikogo — rzekł ojciec Dan. — To też jestem pewny, że pięknie przeprosi waszą lordowską mość i pocałuje.

A ja w odpowiedzi zachowałam

się względem młodego lorda Raa tak, jak względem ciotki Brygidy; nadstawiłam mu twarz, a on mnie pocałował.

Było to drobne, nic napozór nie znaczące zdarzenie, ale stanowiło niby pierwsze ogniwo w łańcuchu tych wydarzeń, które doprowadziły do największego nieszczęścia mego życia i gdy o tem myślę, pojąć nie mogę, czem się to dzieje, że Ten, który pamięta o najlichszym robaczku i liczy kwiatki w polu, nie skinie ręką, by ostrzedz dzieci swoje przed pierwszym krokiem do ich zguby?

Rozdział XI.

Z naszej podróży do Rzymu zostało mi tylko mętne wspomnienie oszklonych peronów stacyjnych.

gwaru i pośpiechu kręcących się po nich tłumów, noclegów w rozmaitych miastach, aż wreszcie czwartego dnia przed samym zachodem słońca ujrzeliśmy olbrzymią złotą kulę, występującą nagle na tle purpurowej gloryi nieba.

— Patrz, dziecko! — wykrzyknął Ojciec Dan, a oczy jego napęły się łzami. — Wiesz, co to jest? To kopia świętego Piotra! Rzym, moje dziecko, Rzym!

Była dziewiąta, gdyśmy dojechali do miejsca naszego przeznaczenia. Trzymając się mocno kieszeni Ojca Dana, wydostałam się wraz z nim z natłoczonego peronu na drugą stronę dworca i tam wsiedliśmy do otwartego powozu. Woźnica trzasnął długim biczem i powóz potoczył się wartko, wzdłuż wyłożonych kamieniami ulic, aż wreszcie stanął u furki wielkiego budynku, do którego przytykał koński i który mi się wydał położonym gdzieś wysoko nad miastem, gdyż mnóstwo kopuł, podobnych do kopuły świętego Piotra, słało mu się do stóp.

Czyjaś ręka uchyliła okienko w furcie, poczem otwarto furkę i powstać w czarnym habicie z szeroką czarną opaską nad czołem i białym obrzeżeniem dokoła twarzy wprowadziła nas do wnętrza i zawiodła długim korytarzem do ciepłego pokoju, w którym znajdowała się druga podobnie ubrana osoba, siedząca w dużym czerwonym fotelu.

Ojciec Dan uklonił się bardzo nisko tej osobie, nazywając ją Wielbną Matką Magdaleną, a ona odpowiedziała mu po angielsku, wymawiając wyrazy w bardzo zabawny sposób, co, jak się później dowiedziałam, oznaczało cudzoziemski akcent.

Pamiętam, że wydała mi się bardzo piękną, prawie tak piękną,

jak moja matka, i że na rozkaz ojca Dana pocałowałam ją w rękę, poczem ona posadziła mnie na krzesło i zaczęła mi się przypatrywać.

— W jakim wieku? — zapytała, a Ojciec Dan odrzekł, że za miesiąc skończę osiem lat.

— Taka mała! — rzekła Wielbna Matka, na co Ojciec Dan powiedział coś o mojej biednej mamie, czego nie zrozumiałam.

Poczem zaczęli rozmawiać o czym innym, a ja patrzyłam na obrazy, wiszące na ścianach, wśród których pierwsze miejsce zajmował wielki wizerunek Chrystusa z otwartym na piersiach sercem.

— Dziecko musi być głodne — rzekła Wielbna Matka — powinna coś zjeść przed snaniem: inne dzieci już śpią.

Zadzwoniła, a gdy weszła pierwsza zakonnica, rzekła.

— Niechaj siostra Angela przyjdzie tu zaraz.

Siostra Angela nadeszła wpędce, a wyglądała tak młodziutko i miała taką słodką, smutną twarzyczkę, że polubiłam ją natychmiast.

— To jest mała Mary O'Neill. Zaprowadź ją, siostrze, do refektarza, daj jej jeść i pozostań przy niej, dopóki nie zaśnie.

— Dobrze, Matko, — rzekła siostra Angela i, wzięwszy mnie za rękę, szepnęła:

— Pójdź Mary, musisz być zmęczona.

Wstałam, lecz w tej chwili ojciec Dan wstał także, mówiąc, że musi znaleźć sobie hotel, bo biskup pozwolił mu zostać w Rzymie tylko dzień jeden, i że musi wracać pierwszym pociągiem nazajutrz.

To spadło na mnie, jak grom. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale nie przyszło mi nigdy na myśl, że mogę pozostać w Rzymie zupełnie sama.

Uczepiłam się ręki ojca Dana i rzekłam żałośnie:

— Jakto, ojcze! Miałbyś zostawić swoją małą Mary?

Drogi ojciec Dan! Jemu jeszcze ciężiej było rozstać się ze mną. Zdławionym głosem wybelkotał coś, że Wielbna Matka będzie się mną opiekować, on zaś z pewnością przyjedzie po mnie na Boże Narodzenie; poczem siostra Angela zaprowadziła mnie, pochlipując zębami, do refektarza, gdzie stały rzędem długie stoły i ławki, a w głębi był rodzaj katedry, z wiszącym nad nią jeszcze większym obrazem Przenajświętszego Serca.

Po zjedzeniu wazki gorącej zupy uczułam się znacznie pokrzepioną i poszłam z siostrą Angielą na górę do sypialni, pełnej łóżek i jakby kołysanej oddechami śpiących dziewcząt.

Siostra Angela pomogła mi się rozebrać, otuliła mnie koldrą i, pochyliwszy się nademną, szepnęła, że będzie mi tu dobrze, że zostanę Jezusowem Dziecięciem, uśmiechając się przytem tak słodko, że objełam ją za szyję i ucałowałam jak kogoś bardzo drogiego.

Wówczas siostra Angela zabrała lampę, poszła do niszy, znajdującej się w głębi sypialni, i zaczęła się rozbierać. Widziałam, jak zdjęła czarną opaskę z czoła i białe obramowanie z twarzy, dokoła której jej długie, jasne włosy opadły falista masą, czyniąc ją podobną do anioła.

Och! jakże samotną i opuszczoną uczułam się wtedy! Zdiał mnie nieopisany lęk i schowałam głowę pod koldrę, tak, jak to było moim zwyczajem, gdy byłam małą, a ojciec wchodził do pokoju matki.

Nie chcę myśleć źle o moim ojcu, ale nawet teraz pojąć nie mogę, że pozbył się mnie z tak lekkim sercem, jakgdybym była jakimś bezużytecznym sprzętem.

I nie mogę zrozumieć także, jakim prawem, nie dbając o mnie, oderwał mnie od matki, która mnie tak kochała i tyle dla mnie wycierpiała, i uczynił ze mnie jakby bezdomną sierotę, rzuconą na pastwę losu wśród obcych miejsc i obcych ludzi?

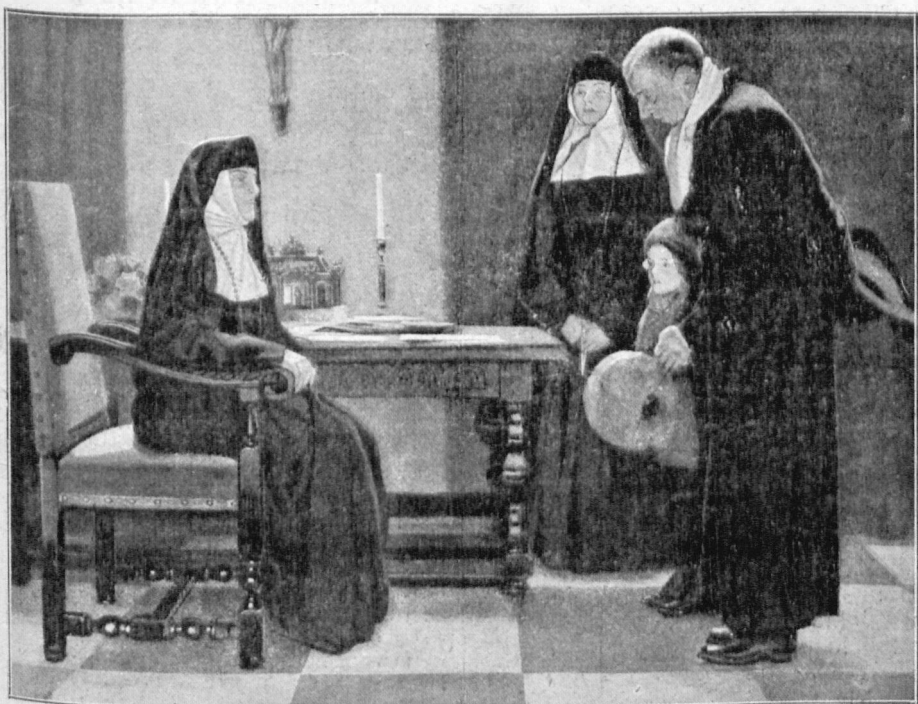
Rozdział XII.

O wpół do siódmej zbudziło mnie głośnie dzwonienie i, otwarłszy oczy, zobaczyłam zakonnice w średnim wieku, o surowej twarzy, odmawiającą modlitwę, podczas gdy dziewczęta, kłęcząc w łóżkach, odpowiadały jej chórem.

W chwilę potem sypialnia napęła się wesołym gwarem ubierających się dziewcząt; do mnie zaś podeszła wysoka, piętnastoletnia dziewczyna, o twarzy nieładnej, ale łagodnej i sympatycznej, i rzekła:

— Jestem Mildred Bankes; siostra Angela poleciła mi, żebym się tobą dzisiaj zajęła.

Z temi słowy pomogła mi się ubrać w aksamitną, brązową sukien-



... Ojciec Dan uklonił się bardzo nisko tej osobie, nazywając ją Wielbną Matką Magdaleną.

ke, mówiąc, że przedewszystkiem zaprowadzi mnie do pracowni sióstr świeckich, by mi uszyły takie czarne ubranie, iakie wszystkie dziewczęta noszą w klasztorze.

Po mszy w kościele poszliśmy do refektarza, gdzie nam podano śniadanie. Jedna ze starszych dziewcząt siadła przy pulpicie i zaczęła czytać głośno z książki, która, jak się dowiedziałam potem, była „Naśladowaniem Chrystusa”. Panienska ta mogła mieć około szesnastu lat i miała bursztynowe włosy, mleczną cerę, a oczy ciemne i przenikliwe, i wydała mi się tak zachwycająca, że nie mogłam oczu od niej oderwać.

— Kto to? — zapytałam szep-tem.

— Alma Lier—odszeptała Mildred, a po śniadaniu, gdyśmy szły na lekcję, dodała jeszcze nieco szczegółów:

Alma była amerykanka; ojciec jej, człowiek milionowy, mieszkał w New Jorku, a matka w Paryżu; teraz jednak bawiła w Rzymie i czasem przyjeżdżała po córkę powozem, by ją zabrać na spacer.

Alma była również najzdolniejszą z uczenic, i gdy nadchodził popis, dostawała tyle nagród, że je ledwo udźwignąć mogła.

Śluchałam tego wszystkiego z podziwem i uwielbieniem; Alma wydała mi się najdoskonalszą z istot, a teraz, gdy sobie to przypominę, nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać nad zwodniczością tego mego pierwszego wrażenia.

Umieszczono mnie w klasie najmłodszych, w której nauczycielką była siostra Angela. Okazywała mi tyle dobroci, że jej zachęta działała, jak pocałunek, a jej napomnienia, jak pieśczęta, lecz ja myślałam tylko o Almie i gdy dzwonek zawezwał nas na drugie śniadanie, oczekiwałam z bijącym sercem, czy i teraz ona będzie czytać na głos.

Jakoż czytała, tym razem po francusku, jak mnie objaśniła Mildred, a moje uwielbienie wzrosło w dwójnasób; dosięgło zaś szczytu, gdy podczas obiadu, który nam podano o czwartej, Alma zaczęła czytać po włosku.

Po obiedzie nastąpiła dłuższa rekreacja i wszystkie dziewczęta zbiegły do ogrodu, a ja za nimi w nadziei, że tam wreszcie uda mi się zbliżyć do przedmiotu moich zachwytów.

Istotnie, Alma w otoczeniu kilku towarzyszek i skierowała się prosto ku mnie. Jej wielkie, badawcze oczy spoczęły na mnie z jakimś nieujętnym wyrazem. Próbowalam się uśmiechnąć, lecz Alma skrzywiła się pogardliwie i rzekła tonem najwyższego lekceważenia:

— Patrzcie-no, widziałyście kiedy coś podobnego?

Wybuchnęła śmiechem, a tamte zaczęły się również śmiać i oglądać mnie od stóp do głowy.

Odgadłam, że śmieją się z mojej sukienki, którą mi uszyła matka, i z

której byłam tak dumna. To zapiekło mnie, niby dotknięcie rozpalonej sztaby, i usta poczęły mi drżeć, ale Alma okazała się bezlitosną.

— I zapewne to czupiradełko wyobraża sobie, że jej w tem ładnie — rzekła. Poczem wszystkie, śmiejąc się, odeszły.

Nigdy już potem żadna ludzka istota — nawet Alma sama — nie zadała mi większych cierpień nad te, jakich doznałam w owej chwili. Łzy trysnęły mi z oczu, fala wstydu, upokorzenia, gorzkiego rozczarowania załała mi duszę. Stałam na miejscu, iak wryta, ściskając konwulsyjnie w dłoni moja małą chusteczkę z takim uczuciem, iakgdybym miała umrzeć.

W chwilę potem Mildred pochylała się nademną i, otaczając mnie ramieniem, rzekła:

— Nie martw się, Mary. To istota bez serca. Lepiej nie mieć z nią do czynienia.

Ale światło dnia zgasło dla mnie i nie mogłam utulić się w płaczu. Płakałam jeszcze, leżąc w łóżku, pomimo tkliwych pieśczęt siostry Angeli, która ułożyła mnie do snu, iak wczoraj.

Ale iakież było moje zdumienie, gdy wkrótce potem uczułam, że ktoś dotyka mego ramienia, i, otworzywszy zapuchłe od łez oczy, zobaczyłam Almę stojącą nademną w nocnej koszuli.

— Słuchaj-no, mała, — rzekła — czy ty się nazywasz O'Neill?

Skinęłam głową twierdząco.

— O'Neill z Ellanu?

Wciąż drżąc, iak listek, szepnęłam, że tak.

— O! — wymówiła Alma zupełnie innym tonem, a ja poznałam, że z niepojętych dla mnie powodów zyskałam w jej oczach.

Usiadła na moim łóżku i zaczęła mnie wypytwać o mój dom rodzinny: Czy niezbyt duży, ale bardzo stary, czy są w nim szerokie kamienne schody, i wielkie marmurowe kominki, i obszerne tarasy, wiodące w dół do morza.

Byłam tak oszołomiona zmianą w postępowaniu Almy ze mną, że na wszystkie pytania odpowiadałam machinalnie „tak”, ona zaś rzekła wreszcie:

— Znam osobę, która niegdyś mieszkała w twoim domu, i opowiem jej o tobie.

Poczem, odchodząc, dodała:

— Nie miej do mnie żalu, że się dziś śmiała w ogrodzie. Nie było w tem żadnej złej myśli. A na przyszłość, gdyby która z dziewcząt chciała cię wyśmiewać, powiedz, że jesteś przyjaciółką Almy Lier i że ona ujmie się za toba.

Zaledwie mogłam uwierzyć własnym uszom. Było mi tak, iakgdyby jakieś niespodziewane szczęście spłynęło na mnie, i uczułam się nieskończenie zadowolona i dumna.

Nie wiedziałam wtedy, że Alma rozpytywała mnie o Zamek Raa, a nie o dom mego ojca. Nie wiedzia-

łam również, że osobą, która tam niegdyś mieszkała, była jej matka, podówczas kochanka starego lorda Raa, który o mało nie rozjechał mego ojca i mojej babki. Nie wiedziałam nic z tego, co leżało pogrzebane w przeszłości, ani z tego, co przyszłość w sobie kryła. Wiedziałam tylko, że Alma nazwała się moja przyjaciółką i obiecała opiekować się mną. I z rozradowaniem sercem usnęłam.
DCN.

Wiadomości literackie.

Z literatury polskiej.

CYPRYANA NORWIDA „Pism prozą”, dział pierwszy, obejmujący legendy i nowele. Wydał Zenon Przesmycki.

Rozmiałowany w pismach Norwida, Zenon Przesmycki odkopuje zapomniane jego dzieła i pokazuje coraz wyraźniejszą, renesansową jego duszę. W tomie obecnie wydanym daje: „Garstkę piasku”, „Bransoletkę”, „Cywilizację”, „Ostatnią z bajek”, „Tajemnicę lorda Singelworth”, „Ad Leones” oraz „Stygmat”. Jako dodatek, drukuje utwór młodzieńczy Norwida p. t. „Łaskawy opiekun, czyli Bartłomiej Alfonsem”. Cały szereg rysunków Norwida uzupełnia ten wysoce estetycznie wydany tom. Dopiski Przesmyckiego omawiają każdą pracę z osobna, rzucając wiele światła na stosunki literackie tych ciężkich czasów, w jakich żył i pracował Norwid. Wydawnictwo dzieł jego powinno się przyczynić do gruntownego zrozumienia i oceny puścizny literackiej i artystycznej, jaką zostawił. Dotychczas bowiem wszystkie głosy, jakie się zjawiały, są zaledwie przyczynkiem.

MARYA RODZIEWICZÓWNA. „Farsa panny Hani”. (Nowele).

Nowele Rodziewiczówny zniewalają życiowym optymizmem, jasnością i prostotą ujęcia i rozumienia życia. Wszystkie w nich wyraźne: wiadomo, co jest złem, a co dobrem. Stąd też przeciętny czytelnik chętnie je bierze do ręki, chętnie z nimi jest. „Farsa panny Hani” zaleca się też przez tę słoneczność spojrzenia, interesuje ciekawą i zupełnie oryginalną fabułą, iak i jej rozwiązaniem. Druga nowela tego zbioru — to opowieść żołnierska, szlachetna i zgiełkiem przygód tętniąca. Ton narracji, iak i w pierwszej, żywy i wartki.

„Skarbiec chrześcijańskich służących”. Opracował ks. dr. ZYGMUNT SKARŻYŃSKI.

Wyborny pomysł miał ks. Skarżyński, układając ten *Skarbiec*, który, oprócz modlitw, koniecznych w każdej książce do nabożeństwa, posiada ważną i interesującą część społeczną. Wskazówki praktyczne, dość obszerne, które stanowią pierwszą część tego dzieła, mogłyby oddać wielkie usługi i służbie i państwu, gdyby były z taką gorliwością rozpa-miętywane, z iaką zostały napisane. We wskazówkach tych doradza się służącej wiele wymagań od państwa, ale też i wiele dawać państwu. Są tu prawa równoważone obowiązkami. Od takiego poglądu znaczna, znaczna większość sług naszych jest bardzo daleka. Pełno w tych